

Portugalia (1978)

Notatki sporządzone z podróży do Portugalii w 1978 roku zostały się więcej niż skromne. Tylko daty i miasta. Dosłownie po jednym zdaniu. I bardzo dobrze, nie muszę wiele pisać. Dodam tylko w pamięci zachowane obrazy. Jasia, z którym udaliśmy się na Półwysep Iberyjski, już nie ma i nikt mi nic nie podpowie. O szczegóły nie będę się też pytać Manuela, który nas zaprosił do Lizbony. Kilka lat temu skontaktowałem się z nim na Skypie i telefonicznie. Porozmawialiśmy, ale jak długo można. Mieszka w Paryżu, jest profesorem na jednym z tamtejszych uniwersytetów. Zapraszał mnie. Kiedyś miałem chrapę tam powrócić, ale teraz już nie. Winien jeszcze jestem parę zdań o pomysłe na taką podróż. Chciałem jechać autostopem. Samemu było to dosyć trudne, więc w końcu zaproponowałem wspólną podróż kolede ze szkoły podstawowej. Zapalił się do niej. Szkopuł był tylko jeden znał jedynie ojczysty język. To, jak się okazało, nie było z wielu powodów dobre. Obgadaliśmy wszystko. Pojedziemy koleją do Paryża, stamtąd z Manuelem do Lizbony, a wrócimy autostopem. Zebraliśmy na ten cel po około 200 dolarów, bo tyle minimum musieliśmy posiadać, aby wyjechać.

A więc 23 lipca ruszyliśmy pociągiem z Katowic do Paryża. Zaraz po przyjeździe zaczęliśmy zwiedzać stolicę Francji. Jak zwiedzić Paryż w 2 dni? To niemożliwe. Tak po łepkach tylko. Cały czas piechotą, od rana do późnego wieczora. Jednak metrem trzeba było się przejechać. Obeszliśmy, co się dało. Wielu ważnych miejsc nie. Pamiętam nocny spacer na placu Pigalle. Liczne neony, tłum ludzi. Innych atrakcji nie wymieniam. Nocowaliśmy u Manuela. Obiecałem sobie tu wrócić. Nie udało się.

26 lipca ruszyliśmy Datsunem z Manuelem do Lizbony. Wieczorem już słońce zachodziło i w Bordeaux widzieliśmy przepiękne ujście Garonny do morza. Wkrótce granica francusko-hiszpańska i jak najszybciej do San Sebastian. Manuel poszedł w centrum do hotelu wyspać się, a nam zostawił kluczyk do samochodu. Krążyliśmy po okolicy jeszcze długo po północy i w końcu wróciliśmy na drzemkę do samochodu. Wstaliśmy wcześniej i zaraz na słynną plażę w zatoce La Concha. Umówiliśmy się oczywiście z Manuelem przy samochodzie na wyjazd o 10.00. Przed nami długa jazda, bo aż do granicy Hiszpanii z Portugalią. Burgos, a dalej Samossiera. gdzie w znacznym upale zjedliśmy kiełbasę wiezioną z Polski. Wyglądała nieciekawie, ale nie zaszkodziła nam. Wtedy były jeszcze nasze wędliny dobre. Potem Madryt, Badajoz i już późnym wieczorem granica. Manuel zaplanował nocleg w Estremoz u zakonnic. Rano otworzyłem okno i to, co zobaczyłem, do teraz zostało w pamięci. To piękne drzewko cytrynowe rosnące po drugiej stronie wąskiej uliczki między białymi domkami już skąpanymi w słońcu. Jedna z sióstr przyniosła do pokoju śniadanie. Zapamiętałem tylko jajecznicę. Poszliśmy bez Manuela pospacerować po miasteczku. Dalsza jazda przez Setubal do Lizbony przez wspaniały most wiszący, jedną z charakterystycznych jej budowli. Wieczorem w Cascais. To tu mieszkał Manuel z rodzicami. Mieli niewielki, przytulny hotelik, w którym przydzielili nam pokój. Miasteczko urocze.

Następnego dnia, czyli 29 lipca, plaża od rana (trochę żeśmy się podsmażyli, to przecież środek lata, a my przyjechaliśmy biali jak przysłowiowi piekarze). Po południu Przylądek Roca, a wieczorem festyn, muzyka i tańce na jakimś placu, nęcące zapachy ich tradycyjnych potraw serwowanych pod gołym niebem.

Kolejny dzień (niedziela) to znowu plaża. Po półtorej godzinie mieliśmy dość słońca. Reszta dnia na spacerze.

Wspaniałe kolacje każdego wieczora w kuchni z wielkim stołem, suto zastawionym różnymi tradycyjnymi potrawami i smakołykami, popijaliśmy znakomitym miejscowym winem.

31 lipca spaliśmy do 11.00. Kupiłem płytę Colemana Hawkinsa. Był w pokoju gościnnym jakiś starszy Amerykanin i zaraz po pierwszych dźwiękach rozpoznał, kto grał. Manuelowi sprezentowaliśmy płytę nagraną przez Witolda Małcużyńskiego, oczywiście z Chopinem. Podczas niedawnych rozmów wspominał o niej. Dodam, że Manuel gra na pianinie. Wieczorem pojechaliśmy razem do Sintry obejrzeć bajkowy pałac i wstąpiliśmy do kafejki.

Następny dzień zapowiadał się bardzo ciekawie. Przyszedł czas na Lizbonę. Tego dnia oprowadzał nas po niej Manuel z przyjaciółką. Oczywiście Alfama i urocze, dosyć strome uliczki ze starymi tramwajami jeżdżącymi w górę i w dół. Chwilę zatrzymaliśmy się w niewielkim ogrodzie botanicznym przy głównej ulicy.

Po pięknej Lizbonie nastąpił dzień relaksu na plaży w Portinho da Arrábida, dokąd zawieźli nas oboje. Powrót z krótkim zatrzymaniem się w Setúbalu (bazar) i Lizbonie.

3 sierpnia rano byliśmy w miejscowym, niewielkim muzeum i udaliśmy się do Lizbony, tym razem sami. Znowu w Alfamie, ale potem inne zabytki z Pałacem Prezydenckim, Pomnikiem Odkrywców, klasztorem Hieronimitów i Wieżą Belém na czele. Nie można było ominąć głównego placu Praça do Comércio nad Tagiem i Arco da Rua Augusta. Wstąpiliśmy również na znaną halę targową. Podczas spaceru napotykalimy charakterystyczne dekoracje fasad budynków zdobionych ceramicznymi płytkami (azulejo). Nie da się wymienić wszystkich atrakcji. Trzeba tam pojechać i zobaczyć.

4 sierpnia to do 12.00 opalanie, potem drzemka, trochę telewizji, spacer oraz różne porządki i pisanie kartek do znajomych.

5 sierpnia pojechaliśmy z Manuelem do Mafry zwiedzić pałac (Palácio Nacional de Mafra). W 2019 roku został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Jeszcze wspomnę 7 sierpnia w Lizbonie. M.in. podreptaliśmy Avenidą da Liberdade w górę do Muzeum Gulbenkiana.

9 sierpnia rozpoczęliśmy długą drogę z Lizbony do Katowic. Manuel wywiózł nas na wylotówkę prowadzącą ku granicy z Hiszpanią. Odnotowałem, że pierwszym zatrzymanym samochodem jechał Angolczyk. Za Montemor-o-Novo, zatrzymaliśmy się w małej knajpce na piwko, i kiedy nadszedł wieczór wleźliśmy w spiwory i spali do rana pod upstrzonym gwiazdami niebem. O 11.00 dotarliśmy do granicy. Trudno było na niej coś złapać. Po około trzech godzinach podszedłem do prawie pustego autokaru zmierzającego do Madrytu. Kierowca zgodził się nas wziąć. Kilka osób (to prawdopodobnie turyści z Brazylii) odsunęło się na tylne siedzenia razem z bagażami. Nie wiem, czym podpadliśmy. Najważniejsze było, że jedziemy prosto do Madrytu. To wielkie miasto. Postanowiliśmy opuścić je szybko. Był już wieczór. Wyszliśmy na ulicę prowadzącą do pobliskiego Alcalá de Henares. Nikt się nie zatrzymywał, więc pojechaliśmy autobusem. Późnym wieczorem jesteśmy na dużym placu w centrum miasta. Pochodziliśmy godzinkę. Jak wszędzie kwitło życie nocne. Na nocleg w hotelach nie mieliśmy kasy (założyliśmy przed wyjazdem spanie w spiworach pod gołym niebem, w końcu to środek lata). Udaliśmy się na obrzeże miasta, aby na szosie zatrzymywać samochody jadące w kierunku Francji i przy niej zapadliśmy w głęboki sen do rana. Po spakowaniu całego majdanu machamy na zmianę znowu ze trzy godziny. W końcu około 12.00 zatrzymuje się Renault 4. Samochód mały, ale jakoś zmieściliśmy się. Wiózł nas bardzo sympatyczny i życzliwy Hiszpan pochodzenia żydowskiego. Siedział wyprostowany, oparty o szeroką, sięgającą ponad głowę deskę, z powodu problemów z kręgosłupem. Gadania było sporo. Jechał do Paryża. Podjechaliśmy w okolice Barcelony i zatrzymaliśmy się w przydrożnym motelu. Mankamentem był okropny hałas z ulicy przeszkadzający w nocy. Nie wyspaliśmy się należycie. Za to plusem był odświeżający prysznic. Niestety nie zanotowałem adresu tego motelu. Rano, 12 sierpnia, dalsza jazda przez granicę Hiszpanii z Francją, aż

w pobliżu Nimes. Tam nasze drogi się rozeszły. Hiszpan jechał na północ, a my wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Podziękowaliśmy mu pięknie za podwiezienie. Pamiętam, że coś od nas dostał na drogę, nawet się ucieszył, ale już nie pomnę co. Jakoś mi wtedy nie przychodziło na myśl opisywać naszą eskapadę szczegółowiej. Szkoda. Później robiłem bardziej skrupulatne notatki. Podeszliśmy kawałek na właściwą drogę (według mapy) i nie wiedzieliśmy co dalej. Zanosilo się na spanie w spiworach. Zauważyliśmy rosnące przy niej brzoskwinie. Drzewa były obciążone zbyt dojrzałymi już owocami, a jeszcze więcej leżało na ziemi. Nikt ich nie zbierał. Co za marnotrawstwo – komentowaliśmy głośno. Najedliśmy się do syta i zabraliśmy torbę na drogę. Tak smacznych, soczystych owoców nigdy nie jadłem. Brzuchy pełne, ale ruch już niewielki. Jednak szczęście nam dopisało. O 21.00 Jaś „wymachał” znowu Renault 4 i jadący nim trochę młodszy od nas Francuz zatrzymał się. Trudno było się dogadać. Mówił tylko po francusku. Coś tam pokazywaliśmy na mapie, pomagając sobie językiem migowym. Ja wychwytywałem niektóre słowa zbliżone do znanych mi z innych języków. Kierunek był wspólny – Nicea. Trasa wiodła przez Arles i Aix-en-Provence. Piękne krajobrazy można podziwiać w dzień, a nie w nocy.

Podczas jazdy okazało się, że on ma zaplanowany nocleg w Nicei, a rano jedzie dalej do Florencji. To my na to jak na lato. Lepiej nie mogło być. Wysadził nas przy jakimś zagajniku w centrum miasta i udał się do hotelu. My w krzaki, też już zmęczeni. Rano poszukaliśmy sklepu spożywczego, aby kupić coś na drogę, i pilnowaliśmy godziny oraz miejsca spotkania. Takiej okazji nie mogliśmy przepuścić. O 11.00 Francuz podjechał. Zza szyb samochodu oglądaliśmy Lazurowe Wybrzeże. To nie był najlepszy sposób, ale nie mieliśmy wyboru. Zatrzymaliśmy się na moment na skalistym wzniesieniu z pięknym widokiem Monako. Zrobiłem zdjęcia, ale wyszły paskudnie. Wjechaliśmy na Autostradę Słońca i nią przez Genuę prosto do Florencji. Pożegnaliśmy się z miłym Francuzem o 19.10. Oczywiście spacer wieczorny. Turystów pełno, place, liczne zabytki. O 22.12 pociągiem do Wenecji. Jej nie mogliśmy pominąć. Leje. W Wenecji też. Było około 2.00. Główny hol dworca pełen młodzieży w spiworach. Prawie jeden przy drugim. No to my między nimi jakoś zmieściliśmy się. Byle do rana. Już nie pada. Do 14.00 prawie biegamy po mieście. Tylko to co najważniejsze. Zaglądamy też w zakamarki. Ulice czasami kończyły się kanałem. 14.12 pociąg do Tarvisio. Stamtąd 5 km do granicy z Austrią, też długim tunelem. Łapiemy jakiegoś Włocha w ciężarówce, pakujemy się do środka i do Wiednia. Trochę pospaliśmy, rozmawiać nie było o czym, bo Włoch tylko po włosku, a my ani w ząb.

15 sierpnia rano w Wiedniu. Jaś zaczął się w pewnym, zupełnie nieoczekiwanym, momencie klócić i opuścił ciężarówkę. Poczul się już jak w domu, nie potrzebował mnie jako tłumacza. Nie wiem, jak on na tym wyszedł, ale ja znakomicie. Podjechałem trochę dalej i według mapy udałem się do poleconych mi przez znajomego fotografa Marka Maruszaka z Opola osób pod wskazany adres. Zastałem ich w domu. Młode małżeństwo, przyjęli mnie serdecznie, pozwolili się wykąpać i zaserwowali jakieś obfite śniadanie. A byłem porządnie głodny. Oczywiście porozmawialiśmy o tym, co w tak krótkim czasie, bo do wieczora tylko, zwiedzić w Wiedniu. I do 19.00 wędrowałem po centrum. Co zobaczyłem, to zobaczyłem. Został już tylko pociąg do Katowic, w których zameldowałem się 16 sierpnia rano.

W sumie dużo wrażeń jak na stosunkowo młodych ludzi z za żelaznej kurtyny, z kraju wówczas socjalistycznego, a dzisiaj zwanego komunistycznym. Trudno było jechać samemu z powodu konieczności spania w drodze powrotnej z zachodniego krańca Europy w miejscach nie zawsze bezpiecznych. W dwójkę raźniej. Ale kula u nogi też była (Jaś). Jednak moja kocia natura sprawiła, że wyciągnąłem wnioski i w dalszych podróżach planowałem wszystko inaczej, rozsądniej i już bez stałej obstawy.

Przebieg trasy

Wyjazd 23 lipca

Katowice–Paryż (pociąg)

Paryż–Cascais (samochód)

Cascais–Lizbona, Portinho da Arrábida, Sintra, Przylądek Roca, Mafra (samochód)

Cascais–granica z Hiszpanią (autostop)

Granica z Hiszpanią–Madryt (autokar)

Madryt–Alcalá de Henares (autobus)

Alcalá de Henares–Florencja (autostop)

Florencja–Wenecja (pociąg)

Wenecja–granica z Austrią (pociąg)

Granica z Austrią–Wiedeń (autostop)

Wiedeń–Katowice (pociąg)

Przyjazd 16 sierpnia rano

Napisał zimą 2025 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak